

Marek J. Stępień

* * *

Podpełzają pod próg nie moje wspomnienia
brzęczenie pszczół narasta
wypełnia cały dom
Woskowe figurki zamierają w tańcu
Milczenie gasi bunt rozśpiewanego umysłu

Coś przemienia wyobrażoną rzeczywistość:
stukot butów pojedyncze strzały
a może niekończący się korowód cieni
w dolinie zamkniętej barierami i lękiem

Nie ma dróg ucieczki nie ma powrotu
do zielonych wzgórz czystych obłoków
Niebo jest błękitne tylko w snach
Niech trwają jak najdłużej pozwolą przeczekać
potknięcia świadomości
na głazach istnienia
a potem niech się rozleje
atramentowa ciemność
niech zanurzy mnie w morzu trwogi
i wypróbuje mojego ducha

* * *

Bądź pozdrowione życie pełne blasku
w objęciach wiosny na wzgórzach jesieni
w locie motyla kolorowym śnie
łopocie skrzydeł aniołów i ptaków
w kałużach pełnych wijących się stworzeń
w wodnych akwenach koralowych rafach
na łąkach lata w kobiercach traw
i górskich zboczach o barwie borówek –
płonących stokach we wrześniowym słońcu

Bądź pozdrowione życie jakie znałem
chodząc ścieżkami utkany w lasach
na polach wiedzy w podziemnych kopalniach
płynąc po wodach bezkresnych i chłodnych
latając ponad soczewkami bieli
w innym wymiarze topornych wcieleniach
jakby na przekór marzeniom i chwale –
życie niemowlę raczkujące w ziemi
chcące ulecieć ku mgławicom gwiazd

Bądź pozdrowione życie – dzieło Boga
ledwo muśnięte umysłem człowieka

* * *

I wesliśmy do ogrodu nad rzeką zbawienia
po trudach dni posepnych i gorzkich jak pio-
łun
powitało nas światło każdego z osobna
i poprowadziło promenadą życia
ku niewyobrażalnemu szczęśliwym przestrze-
niom
gdzie każda grudka promieniuje blaskiem
do którego tęskniliśmy na równinach Ziemi

I doszła nas muzyka ze wzgórz wokół miasta
przeniknęła podniosłym delikatnym dźwię-
kiem

przeniosła nad wyśnione wirujące kregi
połączone jednością pięknego Umysłu
ponad wyobrażenie ludzkiej świadomości
scalająca i czuła na każde drgnienie duszy

I było jak powinno być w niebie na wieczność
po trudach dni posepnych i gorzkich jak pio-
łun
po eonach cierpienia latach wojen i lęku
gdy człowiek człowieka chciał prowadzić na
smyczy
przetrwaliśmy i doszli nad rzekę zbawienia
Nasz trud nie był daremny przeobrażał i
wznosił

Powitało nas światło każdego z osobna

* * *

Pęd powietrza rozdarł moje ciało
Opadałem ku głuchym dolinom
Niebo ze snu pozbywało się poetów
odurzonych wonią świata
Przestałem tworzyć zacząłem spożywać
i moc opuściła mnie nagle i bezpowrotnie
moc utrzymywania się w wyższych rejonach
jaką daje pisane słowo
przez które przemawiają istoty zza horyzontu
oddzielającego znane od nieznanego

Dlatego mój los jest przesądzony
będę opadał aż do zamknięcia koła
do utraty zmysłów rozpadu ego
wokół którego owinąłem starość
Moja wolność zepchnęła mnie z drogi
jaką wybrałem będąc dzieckiem
To iluzja zbyt dumnych
którzy grzeszą manią tworzenia

Ja narzędzie nie z tego świata
mogę tylko służyć Nieznanemu

* * *

Ciemność w oczach podwójne widzenie
szybko narasta falują obrazy
zbliża się kres życie odpływa
nagle i nie wiadomo dokąd –
trzymasz się parapetu wlewasz w siebie
kieliszek za kieliszkiem ożywczego koniaku
żona jakby nieobecna nie czuje powagi
chwili która nadeszła jak nieproszony gość

Nie będę już sobą będę śnił
o wysokich wieżach niezwykłych budowli
szczytach gór jak iglice niedostępnych prze-
strzeniach
które muszą gdzieś być
ukryte przed wzrokiem
Przebić ciemność i odejść
spokojnym krokiem z godnością
nie zatrzymując w sobie trwania
za wszelką cenę gdziekolwiek

Moja słabość potężnieje
Jest ciepława ponad miarę
Zawsze dotrzymuje
danego słowa

* * *

W głębokim śnie poznawałem magię liczb
Odsłaniały się w warstwach wyłonionych z ni-
cości
Niebo było pochmurne zasłaniało myśli
jakie mogły spłynąć z oceanu błękitu
Podrażniony wiedzą chciałem już odpocząć
wśród falujących zbóż na wzgórzach
Patrzeć na pola lasy i łąki
i zanurzyć się w zieleni młodości

Nie było mi dane wyłączyć się z poznawania
wyższej matematyki scalającej wszechświat
Otwierały się okna wiatr łamał gałęzie
drzew posadzonych dla radości człowieka
Czy to nie wystarczy po co szukać
znaczenia zawieszzonego pomiędzy światami
przenikać głębię równań Umysłu
który był jest i będzie
i nie można Go zdefiniować ?

W głębokim śnie zapomniałem o ziemi
Gdy się obudzę będzie krzyżeć z głodu
osaczy mnie i przetrawi aż do ostatniej ko-
mórki
i pójdę tam gdzie nie chcę
w rozpadzie liczb i atomów

* * *

Godziny bez światła ciemne tunele
wykute w lodzie przez styczniowe noce
Lament niemowląt owiniętych w płótno
Cienie przyszłości nad krainą drżących

Idą pochodem ku krawędzi życia
jeszcze tryskają humorem i drwiną:
koronawirusa groźne pożary
spróbują przeczekać w hałaśliwym tłumie

Czy można niebo zobaczyć w ciemności
i wyjść samotnie na odległe wzgórze
kroczyć z odwagą ku nieistnieniu
niosąc zaschnięty wianuszek wspomnień?

Dopomóż Boże umierać z godnością
nie karz za grzechy których nie rozumiem
Popatrz łaskawiej na planetę ludzi
– niech w długim tańcu nie zagubią rytmu

Juliusz Wątroba

Harmonia

W czystość błękitnego poranka
wstępuję ostrożnie jak w wodę,
by nie zmacić,
by kos nie zamilkł
zieleń nie zszarzała,
nie ścichła drzew rozmowa
i by Bóg – co w oczy mi patrzy –
za zasłona chmur się nie schował...
Muzyka płynie.
Woda gra